

Wielkie ucieczki Moja droga do Szwecji

Wieś Wysoka położona jest na Podkarpaciu, leży 3 km. na południe od Łańcuta. Tu urodziłem się 16-go grudnia 1926 r. Byłem członkiem ośmiuosobowej rodziny. Ojciec był z zawodu kowalem i miał własną kuźnię. Mama opiekowała się dziećmi i prowadziła dom. Miałem ponad dwa i pół roku jak ojciec zostawił rodzinę i wyemigrował do Kanady, by trochę zarobić. Nie pamiętałem go – znalazłem go jedynie ze zdjęcia. Po ukończeniu 6 klas szkoły podstawowej, zdałem egzamin do Liceum Technicznego w Rzeszowie. Nauka szła mi dobrze, więc mama chciała wyształcić mnie na inżyniera. Los chciał inaczej. W roku 1939 wybuchła wojna, kontakt oraz pomoc od ojca zostały przerwane. Warunki ekonomiczne w rodzinie były bardzo trudne. Wróciłem do podstawówki i ukończyłem 7-ą klasę. Miałem 14 lat, jak mama wysłała mnie do Franciszka Tajchmana (nazywałem go wujkiem) na 3 letnią naukę rzemiosła kowalskiego i równocześnie do szkoły zawodowej (wieczorówka) w Łańcutcie.

W roku 1945 przyszło wyzwolenie. Ja przed Izłą Rzemieślniczą w Rzeszowie zdałem egzamin czeladnika. Ponieważ ojciec zostawił po sobie kuźnię i narzędzia, mogłem natychmiast założyć własny warsztat.

Po wojnie odnowiły się kontakty z ojcem. Nie chciał wracać do kraju, nie był pewny co do systemu w Polsce. Wybudował dom i chciał sprowadzić całą rodzinę do Kanady, jednak wszystkie jego starania zakończyły się odmownie. Za Stalina nie wolno było opuszczać kraju i w szczególności emigrować do krajów zachodnich, a więc połączenie rodziny w legalny sposób stało się niemożliwe.

Zaczęły mi przychodzić do głowy myśli jak by się dostać do ojca ?

Tymczasem klimat polityczny w Polsce pogarszał się. Komuniści przejęli władzę, sfałszowali wybory, wprowadzili cenzurę i zabronili wolnego zrzeszania się.

Założyli tzw. "Dyktaturę Proletariatu". Zaczęły się aresztowania ludzi o odmiennych poglądach. Społeczeństwo zostało spenetrowane, było pełno donosicieli i szpiegów. Za okupacji hitlerowskiej było o tyle lepiej, bo wszyscy mieli wspólnego wroga, wtedy można było w rozmo-



Mieczysław Nycz

wie drugiemu zaufać i zwierzyć się. Teraz trudno było na kogoś liczyć, bo nie wiadomo było z kim tak naprawdę ma się do czynienia. Aby w tym systemie egzystować trzeba było okłamywać samego siebie, mówić wbrew swojemu przekonaniu, trzeba było mieć dwie moralności. A że byłem wychowankiem Polski przedwojennej, nie mogłem i nie umiałem w tej rzeczywistości się odnaleźć. To zniewolenie i jeszcze dwa inne wydarzenia wpłynęły na moją pogardę do komunizmu i na moje zdecydowanie, aby za wszelką cenę od niego uciec.

Po ukończeniu nauki rzemiosła kowalskiego odwiedziłem wujka Franciszka. Ciekawy był jak mi idzie w kuźni. Później dyskusja przeszła na ogólne tematy.

Jak widzisz, teraz przechodzimy trudne czasy – powiedział, ale kiedyś musi się to wszystko zmienić i Ty dostaniesz się do ojca. Ja mam dla ciebie pewną historię, którą mu wtedy opowiesz, ale żebyś o tym nikomu nie opowiadał w kraju bo to grozi więzieniem. „Gdy w 1939 r. wybuchła wojna i niemieckie wojska zbliżyły się, ja razem z tysiącami innych mężczyzn, uciekłem na wschód z myślą, że tam włączę się do wojska, że będzie silniejszy opór i powstrzyma wroga. Dotarłem aż na Wołyń, blisko Kamieńca Podlaskiego, kiedy wkroczyli Sowieci. Na początku uniknąłem śmierci od kosy Ukraińców, później po wkroczeniu Armii Czerwonej dostałem się do niewoli i razem z kilkuset innymi, byłem internowany. Przetrzymywano nas w jednej ze szkół. Budynek strzeżony był przez wojsko. Próba oddalenia się od niego lub ucieczka groziła śmiercią. Przydzielono po pół bochenka chleba dziennie na osobę,

woda była w szkole. Wśród internowanych osób byli mężczyźni o różnych zawodach i stanie cywilnym: robotnicy, rolnicy, rzemieślnicy, adwokaci, księża, urzędnicy i nauczyciele. Po tygodniu, zebrano nas przed gmachem szkoły i po sprawdzeniu obecności według nazwisk, NKWD kontrolowało każdego rękę.

Jak się później okazało, ocena wyglądu dłoni decydowała o losie danej osoby, – tych z odciskami na dłoniach (roboczy naród) ustawiano w grupie na lewo, a tych drugich (burżu) na prawo. Mnie odesłano do grupy po lewej stronie. Po tej procedurze, dano nam po pół bochenka chleba i samochodami ciężarowymi zawieźli nas na stację kolejową, gdzie czekały na nas wagony służące do transportu bydła.

Przy pomocy straży wojskowej, załadowali nas do wagonów, zamknęli drzwi i po dłuższym postoju pociąg ruszył w drogę. W wagonie było nas 48-śmiu. Było ciasno, zaledwie kilkunastu mogło usiąść na podłodze, reszta musiała stać. Jeden kąt wagonu służył na załatwianie własnych potrzeb, stąd też powietrze było nie do zniesienia. Po dwóch dniach wolnej jazdy i częstych postojów w nocy, pociąg stanął i otworzono nam drzwi. Wzdłuż wagonów co kilkanaście metrów stała straż wojskowa. Kazano nam wyjść i oczyścić wagon. Dali nam po pół bochenka chleba, wodę do picia i odesłali z powrotem do wagonu. O ucieczce nie było mowy, każda próba zakończyłaby się utratą życia. Pociąg ruszył dalej, a warunki w wagonie stawały się coraz gorsze do zniesienia. Głód, zmęczenie, brak higieny, niepewność dokąd jedziemy, zbliżyły nas do granicy psychicznej i fizycznej wytrzymałości. Noce były dość chłodne, tuliliśmy się do siebie i rozgrzewaliśmy się ciepłem własnych ciał. Zaczęły się choroby. Podczas jednego postoju prosił się komendant straży o lekarza, on wzruszył ramionami i powiedział, że to już nie daleko, że chorzy wytrzymają.

Upłynął ponad tydzień jazdy w wagonie, jeden spośród kilku bardzo chorych, siedział przycupnięty w kącie i ciężko oddychał, nie mógł się podnieść i nie odpowiadał na pytania. Po kilku godzinach zmarł. W nocy pociąg znowu zatrzymał się, otworzono nam drzwi. Staliśmy gdzieś na boczniicy, nie było widać domów.

Wypuścili nas na rutynowe oczyszczenie wagonu i zaprowiantowanie. Zawiadomiliśmy wartownika, by przyprowadził komendanta bo mamy trupa. Przyszedł z lampką, popatrzył, wziął czterech z naszej grupy, dołączył do nich dwóch strażników, co nas pilnowali i kazal wynieść zmarłego, wskazując miejsce (kawalek od torów), gdzie mieli go zakopać. Ponieważ było bardzo ciemno szybko zniknęli nam z oczu. Ja stałem tuż przy wagonie z dwoma innymi i rozmawiałem. Nagle usłyszeliśmy głośny krzyk i jeden po drugim dwa strzały. Pilnujący nas żołnierz zareagował, odwrócił się oddalając kilka kroków w kierunku strzału. Szepnąłem do moich towarzyszy: uciekamy! - i nas troje szybko pod wagon, na drugą stronę pociągu, przez drugie tory i w pole. Biegliśmy ile sił. Po kilkuset metrach, zdyszani, przystajemy na parę sekund by posłuchać czy za nami nie idą. Było cicho. Pocięliśmy się, że może nie zauważono naszego odskoku. Biegliśmy, aby jak najdalej oddalić się od pociągu. Nie wiedzieliśmy, skąd biorą się nasze siły. Szliśmy po wysokiej trawie i po chwili doszliśmy do lasu, tu poczuliśmy się pewniej. Odpuściliśmy przez chwilę i ruszyliśmy w drogę nie przerywając marszu aż do świtu. Wschodzące słońce pomogło nam określić kierunek naszej ucieczki. Udał się na zachód – do Polski. Wiedzieliśmy, że znajdujemy się w głębi Rosji fi przypuszczalnie w drodze na Sybir. W lesie poszukując kryjówek na dzienny odpoczynek znaleźliśmy mały staw, gdzie można było się umyć i napić. Grzyby i jagody były naszym pożywieniem. To był nasz pierwszy, smakowity posiłek na wolności. W szkole w czasie rewizji osobistej udało mi się ukryć w skarpecie mały scyzoryk, był on bardzo przydatnym narzędziem w naszej wędrówce do domu. Dnie były ciepłe, dlatego wtedy odpoczywaliśmy w ukryciu i szukaliśmy pożywienia. Nocą zaś było chłodno, idąc rozgrzewaliśmy się, a ciemność dawała nam większe poczucie pewności i bezpieczeństwa. Gdy niebo nie było zachmurzone to „uczuliśmy” się astronomii i wędrowaliśmy według gwiazd. Pewnego dnia usłyszeliśmy głosy ludzi. Dwóch myśliwych z dubelcówkami przechodziło przez las zaledwie 150 m. od naszej kryjówki. Na szczęście nie mieli psa, mógłby nas wtedy wytopić. Wędrowaliśmy już ponad 5 tygodni przez lasy, rzeki i pola. Głód zmuszał nas, by w nocy podchodzić bliżej do samotnych domów, gdzie były ogrody i gdzie nie czekały psy.

W kilku miejscach była marchew, ziemniaki i kapusta, to było głównym naszym posiłkiem w drodze.

Pewnego wieczoru, idąc polem wzdłuż szosy, doszliśmy do skrzyżowania dróg z drogowskazem – Grodno. Ogarnęła nas radość i podniecenie, że jesteśmy już w Polsce! Jednego wieczoru podeszliśmy do stojącego pod laskiem domu i podglądaliśmy ostrożnie przez okna. Przy lampie naftowej siedziały 3 osoby, dwóch mężczyzn i kobieta. Zapukaliśmy, zaszczekał pies, otworzyły się drzwi i w nich stanął starszy mężczyzna. Jak się później dowiedziałem był leśnym. "Wędrujemy i zeszlismy trochę z drogi, czy możemy wejść na chwilę żeby się zagrzać i napić wody. Brudna odzież i zarośnięte brody wzbudziły jego podejrzenia, ale mimo to zaprosił nas do środka. To byli Polacy, wyczuliśmy, że to są dobrzy ludzie. Opowiedzieliśmy im naszą historię. Kobieta zasunęła dokładnie firanki w oknach, przygotowała herbatę i poczęstowała nas chlebem z serem. Mogliśmy się umyć i ogolić, a na strychu przygotowali nam nocleg, by sobie dobrze odpocząć.

Następnego dnia wieczorem dali nam dwa swetry, trochę jedzenia i dalej w drogę. Jeden z moich współtowarzyszy był rolnikiem i mieszkał we wsi niedaleko Lublina. Po pięciu dniach byliśmy u niego w domu. Widziałem wzruszający moment, kiedy uszczęśliwiona żona witała od przeszło dwóch miesięcy zaginionego męża. To były ostatnie dni listopada. Po dwóch dniach odpoczynku u niego w domu najedzeni, ogoleni i ciepło ubrani, wyruszyliśmy w stronę Przemysła. Tam, mieszkał mój drugi kolega z zawodu szewc. Po kilku dniach doszliśmy do niego. Do rodziny na Wysoką miałem jeszcze 60 km. Przeszkodą była rzeka San, która stanowiła nową granicę między naszymi okupantami. Sowieci byli po prawej, a Niemcy po lewej stronie. Po obu stronach rzeki chodziły graniczne patrole, oprócz tego San był szeroki i głęboki, co utrudniało przedostanie się na drugą stronę. Ukrywałem się do czasu, kiedy rzeka zamarzła. Był już grudzień i zaczęła się zima. Pewnej nocy, kiedy szalała zamieć śnieżna wraz z przemysłowcem, którego polecił mi kolega, doszedłem do miejsca gdzie bezpiecznie mogłem przekroczyć zamarznięty San i wrócić do domu".

W 1972 r. wujek Franciszek chciał odwiedzić mnie w Szwecji, starał się o paszport, ale mu odmówiono, po kilku latach zmarł.

Mieczysław Nycza

Dalszy ciąg wspomnień Mieczysława Nyczy w następnym numerze GGL

człóII

Archeologia w gminie Łańcut

Epoka brązu

Początki epoki brązu na terenie Polski datuje się na ok. 2300 lat przed Chr. Należy jednak podkreślić, że data ta odnosi się do Śląska i Wielkopolski, gdyż w południowo-wschodniej Polsce jeszcze przez kilka stuleci obraz kultury tutejszych mieszkańców silnie nawiązywał do sytuacji z końca epoki kamienia. Archeolodzy mówią, o tzw. kulturach episznurowych, z których najważniejsza była kultura mierzanowicka. W porównaniu z poprzednim okresem zaszyły korzystne zmiany środowiskowe i gospodarcze: znów możliwy stał się powrót na większą skalę do rolnictwa i do stabilnego trybu życia.

Osiedla kultury mierzanowickiej znane są z Kosiny, stan. 4 i 8 (na polach w południowo-wschodniej części wsi) i z Wysokiej, stan. 1 i stan. 8 (nad potokiem Bujdak, ok. 1500 m na wschód od kościoła). Wykopalskom na stan. 1 w Wysokiej będzie wprawdzie poświęcony osobny artykuł, ale można tu wspomnieć, że odkryto tam jamy zasobowe (piwniczki), służące do przechowywania zapasów. Jamy te, o głębokości do 3 m, w połączeniu z licznymi śladami po słupach świadczą o istnieniu dużych budynków naziemnych. Podobna osada była też badana w Sieteszy, natomiast najbliższy grób został odkryty w Lipniku, także w pow. Przeworsk.

Z kulturą mierzanowicka należy łączyć m.in. siekiery z Handzlówki, stan. 3 (ok. 500 m na południe od kościoła) i Kraczkowej (z nieznanego miejsca) oraz siekiery znalezione niedawno w Albigowej, stan. 71 (na polach w przysiółku Na Granicy) i stan. 79 (kolo Księżego Lasu). Bardzo interesująco przedstawia się zgłoszenie z Handzlówki, dotyczące odkryć wyrobów krzemieniowych na polu pp. Rajzerów, położonym ok. 1000 m na zachód od kościoła. Łącznie na terenie gminy jest znanych ok. 10 pewnych stanowisk tej kultury.

Nową jakością w epoce brązu była tzw. kultura trzciniecka (ok. 1600-1300 przed Chr.). Dotychczasowe badania prowadzone w różnych częściach Polski wskazują, że ludność ta przybyła do Małopolski z północy i zapewne wchłonęła potomków kultury mierzanowickiej. Ślady osiedli kultury trzcinieckiej są znane m.in. z Kosiny, stan. 60 (w południowo-zachodniej części wsi, przy granicy z Soniną), z Kraczkowej, stan. 28 (we wschodniej części

wsi, przy granicy z Cierpiszem i Albigową), z Soniny, stan. 1, z Wysokiej, stan. 1 (gdzie wystąpiły także jamy zasobowe, choć nie tak głębokie, jak w poprzedniej kulturze) oraz z Albigowej, stan. 23 i 26 (w północno-wschodniej części wsi, ok. 1500 m od kościoła, nad potokiem Gifarynt). Licznie można wskazać, co najmniej 14 miejsc gdzie znaleziono pochodzące z tej kultury ułamki naczyń o charakterystycznie pogrubionych brzegach. Najbliższe groby odkryte zostały w Grodzisku Dolnym.

W XIII-XII w. p.n.e. na rozległych terenach Europy Środkowej powszechny stał się zwyczaj palenia ciał zmarłych. Przepalone kości były zbierane do glinianych urn (popielnic), które zakopywano w ziemi. Kremacja wiązała się zapewne z wierzeniami religijnymi - przypuszczalnie z kultem solarnym, w którym Słońce było upostaciowaniem najwyższego bóstwa. Istnieją hipotezy, że ludność Europy Środkowej czciła bogów i boginie, których można porównywać z bóstwami starożytnych Greków i Rzymian. Kremacja (ciałopalenie) była następnie dość powszechnie stosowana aż do przyjęcia chrześcijaństwa.

Na podłożu kultury trzcinieckiej powstała w XIII w. przed Chr. tzw. grupa tarnobrzeska kultury lużyckiej. Z powodu dużych odmienności część archeologów uważa ją nawet za odrębną „kulturę tarnobrzeską”. Badaczem tej grupy był pochodzący z Woli Małej rzeszowski archeolog, dr Kazimierz Moskwa (1935-1983).

Ludność grupy tarnobrzeskiej i innych odłamów kultury lużyckiej prowadziła wszechstronną gospodarkę, zachowując się „elastycznie” w zależności od środowiska przyrodniczego i umiejętnie łącząc uprawę ziemi z hodowlą zwierząt. Przypuszczalnie w tych czasach (ok. 1300-400 przed Chr.) znów doszło do znacznego wylesienia terenu, a zaludnienie było stosunkowo gęste. Dopiero w kulturze lużyckiej na większą skalę upowszechniły się wyroby z brązu, powodując istotne zmiany w życiu ludzi.

Ponieważ zmarłych grzebano przez dłuższy czas w jednym miejscu, powstawały duże cmentarzyska, zwane w archeologii „polami popielnicowymi”. W gminie Łańcut największe znane stanowisko tego rodzaju znajdowało się w Albigowej, stan. 1 (Na Granicy). Natrafiono na nie podczas II wojny światowej, przy

budowie domu - według relacji odkrywców umy stały w rzędach, co jest często spotykane w grupie tarnobrzeskiej. Pierwsze wykopaliska zostały przeprowadzone w 1946 r., przez wspomnianego już Ignacego Błaszkiewicza i doc. dr. Gabriela Łefczyka (1885-1977) rodem z Husowa, pracownika Muzeum Archeologicznego w Krakowie. Archeolodzy wracali tu w 1963 r. oraz w latach 2001-2002 i 2004. Łącznie stwierdzono na tym cmentarzysku, co najmniej ok. 80 grobów. W niektórych umach wystąpiły drobne ozdoby i części stroju z brązu: bransolety, pierścienie i szpile. O innych cmentarzyskach z tego czasu świadczą odkrycia w Kraczkowej, stan. 1 w Kosinie, stan. 1 (ogród plebański koło nowego kościoła) prawdopodobnie w Wysokiej, stan. 1 (okolice zabudowań plebani), i być może w Rogóźnie. We wszystkich tych wypadkach stopień zniszczenia lub niedostępność terenu uniemożliwiała przeprowadzenie dokładniejszych badań. Cmentarzyska grupy tarnobrzeskiej znane są też z Białobok (wykopaliska 1903-1904) i z Lipnika (wykopaliska 1998-2005) - to ostatnie zawierało co najmniej 370 urn.

Duże osiedla tej grupy leżą m.in. w Soninie - stan. 8 i 10 (na polach w południowo-wschodniej części wsi przy granicy z Wysoką i Kosiną), i Kosinie - stan. 34 (na łąkach w północno-wschodniej części wsi). Znane są głównie z badań powierzchniowych, gdyż wykopaliska prowadzono jedynie w Albigowej, stan. 44 i w Wysokiej, stan. 1. W obu wypadkach stwierdzono tylko jamy gospodarcze, pochodzące z początku epoki żelaza (ok. 700-400 przed Chr.), czyli z późnej fazy grupy tarnobrzeskiej. Można przypuszczać, że na osiedlach stały chaty naziemne słupowe i ziemianki lub półziemianki, jakie znane są np. z Białobrzegów. Łącznie wiemy dziś o ok. 50 stanowiskach grupy tarnobrzeskiej na terenie gminy Łańcut (najwięcej - bo aż ok. 20 - odkryto ich w Kosinie).

Epoka żelaza

Jak wspomniano, grupa tarnobrzeska trwała do wczesnej epoki żelaza. Niewyjaśniony pozostaje problem jej zaniku, co nastąpiło przypuszczalnie w IV w. przed Chr. Wydaje się przy tym, że nie można tu winić Scytów - ludu irańskiego, zamieszkującego wtedy stepy Ukrainy i Niziny Węgierskiej, gdyż ludność

c.d. na str. 16

Wielkie ucieczki (część II)

Moja droga do Szwecji

Wujek Franciszek miał jeszcze dwu—chbraci, Michała i Józefa. Michał był lotnikiem w wojsku polskim i stacjonował w Krakowie. Brał udział w kampanii wrześniowej i po kapitulacji uciekł samolotem na Węgry, stamtąd poleciał do Francji i później do Anglii. Służył w Polskim Dywizjonie 303 i brał udział w obronie powietrznej Anglii. Jest opisany w książce pt. „Cichociemni”. W roku 1943 był zrzucony na spadochronie w Polsce i w randze wyższego oficera o pseudonimie „Nikita” brał udział w organizowaniu powstania warszawskiego. Według doniesień, ich schronisko dowodzenia zostało zdradzone, dostał się do niewoli. Był torturowany, jednak nie zdradził tajemnic wojskowych. W wyniku tortur zmarł.

Drugi brat, Józef, należał do armii podziemnej w czasie okupacji hitlerowskiej, brał udział w wielu akcjach dywersyjnych przeciwko okupantowi. W ostatnim dniu wojny, kiedy Niemcy wycofywali się z terenów Łańcuta, był w lesie (Bażantarni) i brał udział w akcji, która miała na celu utrudnić wycofywanie się patroli niemieckich. Niemcy otworzyli ogień z karabinu maszynowego i został zraniony. Wzięty do niewoli na cmentarzu żydowskim w Łańcutcie, został rozstrzelany.

Gdy wojska rosyjskie wkroczyły na nasze tereny, do naszego domu przyszło dwu—ch żołnierzy żądając, aby natychmiast odstąpił im jeden pokój na kwatery. Podłączyli łączność telefoniczną. Po chwili w domu pojawili się również wyżsi rangą oficerowie z ochroną. Siostry ukryły się u sąsiadów, a ja, młodszy brat i mama spaliśmy na strychu. Za półtora dnia o świcie, wojsko pośpiesznie opuściło nasze mieszkanie. Mama, jak zwykle rano w kuchni chciała rozpałić ogień—by ugotować nam śniadanie. Otworzyła drzwiczki i zawołała do mnie: „Mieciu choć, zobacz co to tam leży!?”. Sprawdziłem i zauważyłem w kanale wyciecznym dymu lecący granat. Wyciągnąłem go i

z przerażeniem powiedziałem: „mamo! jakie szczęście, żeś nie rozpałiła ognia, to jest granat, inaczej z naszego domu była by już tylko ruina, a może i nas by już nie było”.

Przyszłi szwagier, on był w wojsku, wziął granat, kazał mi i bratu położyć się w rowie i zdetonował go.

We wrześniu 1947 r. zostałem powołany do służby wojskowej w marynarce wojennej w Uście. Otworzyła się nowa perspektywa w moim życiu, aby jakimś cudem wyostać się z kraju i skontaktować z ojcem. Byłem zawsze ostrożny w rozmowach. Unikałem tematów o ojcu, a szczególnie zachodzie. Moje oficjalne zainteresowanie tym, mogłoby mi zaszkodzić w przyszłości w otrzymaniu pracy na wybrzeżu. Podczas szkolenia rekruckiego przeszliśmy „pranie mózgu”. Oficer do spraw politycznych, (zwany politruk) kalecząc język polski, uczył nas nowej historii kraju, kładąc nacisk na wyższość socjalistycznego systemu Związku Rad. Na lekcjach odpowiadałem na pytania, w sposób jego zadowolający. Po wyszkoleniu rekruckim przydzielono mnie na 6-cio miesięczny, techniczny kurs specjalist—w morskich, po czym w charakterze motorzysty, zaokrętowany zostałem na jednostkę wojenną do tralowania min akustycznych „Mewa”. Bazę morską mieliśmy w Gdyni na Oksywiu. Wówczas dostrzegłem szansę na ucieczkę, myślałem, że może któregoś dnia wyjedziemy gdzieś za granicę i po prostu „odskoczę”. Do tego jednak nigdy nie doszło. Tylko jeden raz zdarzyło się, że w czasie manewrów przy współdziałaniu marynarki z lotnictwem, byliśmy blisko wód terytorialnych szwedzkiej wyspy Olandia. Wyszedłem wtedy na pokład ze siłowni, zobaczyłem obcy ląd i śniłem o wolności.

Pewnego razu, gdy płynęliśmy z Gdyni do Darłowa, nastąpiła awaria turbodmucha—wy motoru napędzającego agregat prądowy. Cała załoga oprócz służby, poszła na przepustkę do

miasta, a ja zostałem ochotczo na okręcie, by naprawić motor. Przyszedł do siłowni oficer służbowy i pochwalił moje stanowisko w podejmowaniu odpowiedzialności za stan techniczny okrętu. Powiedział, że mogę być przykładem dla innych i powinienem zapisać się do ZMP (Związek Młodzieży Polskiej). Odpowiedziałem, że jeszcze nie dorosłem do spełnienia roli jaką ta organizacja nakłada na jej członka, i że na razie wolałbym pracować poza jej obrębem. Oficer powiedział, że bym przemyślał jeszcze tą decyzję.

Po dwu—ch tygodniach, w czasie apelu porannego na pokładzie przy odczytywaniu rozkazu dziennego, dowódca okrętu wymienił moje nazwisko i mianował mnie na starszego marynarza. Równocześnie ogłosił, że zostałem przyjęty w poczet członków ZMP. W czasie służby w marynarce otrzymałem dwa razy przepustkę do domu. Byłem dumny z munduru, gdyż w tej części kraju, do rzadkości należało zobaczyć marynarza. Służbę w marynarce skończyłem w stopniu młodszego podoficera — mata.

Kilka tygodni przed wyjściem do cywila, zostałem wezwany do generała sił zbrojnych, obwodu gdańskiego na rozmowę. Powiedział mi, że ma dobrą opinię o mnie, i że właśnie takich ludzi Polska Ludowa potrzebuje. Kapitałiści na zachodzie robią wszystko, aby krajom demokracji ludowych zaszkodził, musimy więc być czujni (W Korei toczyła się wojna). Zaproponowano mi pracę na traulerach dalekomorskich do połowy ryb na Morzu Północnym. Byłem tym wielce zaskoczony i pomyślałem, że to może być jakaś pułapka. Taktycznie odpowiedziałem mu, że wolałbym pracować na mniejszych kutrach i był często na lądzie. (Traulery dalekomorskie wypływały w morze na kilka miesięcy). Nie nalegał, ale dał mi szansę, że bym się nad tym dobrze zastanowił. Tam można lepiej zarobić — dodał. Wręczył mi kartkę z numerem telefo-

nu i za tydzień— miałem mu dać odpowiedź.

Propozycja ta dręczyła mnie. Postąpiłem dobrze czy nie? Traulery dalekomorskie dobijały do portów w Anglii, tam była szansa odskoku. Może przegapiłem okazję? Podejrzywałem także, że on chciał mnie zwercbować do służby wywiadowczej w załodze.

W międzyczasie dowiedziałem się, że Państwowe Przedsiębiorstwo Polow—w Morskich w Gdyni rekrutuje marynarzy do floty rybackiej. Zgłosiłem się. Po demobilizacji pojechałem na jeden dzień do domu i później wróciłem z powrotem do Gdyni na 3-miesięczny uzupełniający kurs dla motorzyst—w kutrowych. Po otrzymaniu dyplomu, otrzymałem pracę w firmie rybackiej „Barka” w Kolobrzegu, na kutrze o nazwie „Walery”. Wynająłem pokój—mieszkalny na ul. Próżnej i znajdując się około 300 metrów od portu rybackiego. Kolobrzeg, miasto portowe było w dużej części zniszczone w czasie wojny. Na przyległych dzielnicach domy leżały w gruzach, a wśród nich widziałem tylko sterczące, wysokie kominy.

Centrum było zradiofonizowane, na rogach ulic zamontowane były głośniki, przez które ciągle nadawano propagandę o przodującym ustroju socjalistycznym obozu Związku Radzieckiego i o „zgniłym zachodzie”, gdzie jest duże bezrobocie, i że ludzie z głodu umierają na chodnikach. W szkole namawiano dzieci, by donosiły na swoich rodziców, gdy słuchają radia Wolna Europa.

Po „wyzwoleniu” upaństwowiono prywatne kutry. W Kolobrzegu zorganizowano państwową firmę rybacką „Barka”. Ponieważ zdarzały się ucieczki kutrami do Szwecji, zastrzeżono kontrole w porcie, a na morzu patrolowały jednostki WOP-u. (Wojsko Ochrony Pogranicza). Nie wolno było kontaktować się z zagranicznymi kutrami na morzu, nawet w doraźnych potrzebach. Port rybacki, ogrodzony był siatką stalową i żywoplotem. Przy bramie stał strażnik z bronią i psem. Wejście do portu dla obcych było zabronione, a pracującym w nim sprawdzano dokładnie dokumenty. Wśród licznego personelu administracyjnego byli politycy, którzy bacznie obserwowali ludzi z

załogi. Przed wyjściem w morze podjeżdżało się do placówki WOP-u, gdzie dokładnie kontrolowano kuter i stan załogi. A nie wolno było mieć ze sobą lepszego ubrania niż robocze, żadnych zdjęć, listów lub map. Na kutrach typu „Walery” załoga składała się z siedmiu os—b, szyper, motorzysta i 5 os—b załogi pokładowej. Kuter miał ponad 100 ton wyporności (BRT). Szyper i motorzysta miał swoją kabinę, zaś reszta załogi miała wsp—lne pomieszczenie na dziobie statku. Moim zadaniem na kutrze była obsługa motor—w, wind oraz bunkrowanie paliwa i wody. Gdy pewnego razu oczyszczałem zbiornik na wodę, zauważyłem, że może on być dobrym schowkiem dla dw—eh ludzi. Był o pojemności 2 m sześciennych. Wewnątrz, w połowie zbiornika było przyspawane wzmocnienie o profilu winklowym, na które położyłem deski i od tego czasu napelniałem wodą tylko p—baku. W morze wychodziliśmy późnym wieczorem, między 22 a 24 godziną. Do połowiska trzeba było płynąć około 5 do 6 godzin. Wtedy załoga spała, tylko motorzysta czuwał w silowni, a szyper prowadził kuter. Załogę tworzyli ludzie, którym nie można było ufać, trzeba było uważać, czy nie podsłuchują i nie obserwują zachowań innych. Zrobienie jakiegoś nieprzemysłanego kroku mogło zniweczyć pobyt i pracę na wybrzeżu, a w ostateczności spowodować aresztowanie. Znalazienie os—b podobnie myślących do mnie nie było łatwe. Jeden z moich kolegów J—zek, kt—fy był szyperem na innym kutrze, dowiedział się, że mam ojca w Kanadzie. Zaproponował mi przechadzkę nad morze. Wypiliśmy sobie po dwa w barze i poszliśmy. Po chwili przystanął, popatrzył w dal i powiedział: „Ciekaw jestem co tam kryje się za horyzontem?” Odpowiedziałem, że dla mnie to jest też ciekawe, tam musi być inny ład, inny świat i inne życie. Wtedy popatrzył mi w oczy i rzekł: „Może za morze?” A ja na to: „Daj nam Boże”. Wyzuliliśmy nawzajem, że nasze pragnienia znicznają w tym samym kierunku. Było już nas dwóch, ale jednak za mało. Trzeba było więcej os—b, by mieć w załodze przewagę.

J—zek w cywilu był fryzjerem. W czasie okupacji był w

armii krajowej, po wojnie kilkakrotnie przesłuchiwał go Urząd Bezpieczeństwa. Nie czuł się w kraju pewnie. Służył w marynarce w tym samym czasie co ja, w specjalności sygnalisty na okręcie ORP „Błyskawica”. Był przystojny, posiadał łatwość w nawiązywaniu kontaktów. Cieszył się także powodzeniem u dziewcząt. Przeprowadził się do mojego pokoju i mieszkaliśmy razem. Po upływie p—l roku dogadaliśmy się jeszcze z czterema innymi kolegami: Olkiem, Tadzikiem, Marianem i Leonem. Olek pracował jako mechanik w warsztacie remontowym, Tadzik przy naprawach sieci na łodzi, władał dobrze niemieckim, co nam się później bardzo przydało, a Marian był urzędnikiem BHP. Wszyscy trzej pracowali w firmie i mieli wstęp na teren portu. Leon zaś pracował w urzędzie jako inspektor w porcie handlowym. Ta czw—rkomic o sobie nie wiedziała, aby w razie wpadki jak najmniej os—bbyło aresztowanych.

Gospodarka planowa PRL nakładała duże normy połowów. Oznaczało to, że tyle i tyle tony ryb musimy złowić w ciągu jednego miesiąca. To zmuszało nas do wypływania w morze nawet przy silnym wietrze i wysokich falach. Pewnej zimy w czasie szalejącego sztormu, przy 15-sto stopniowym mrozie musieliśmy poucinać sieci, bo nie można było ich wyciągnąć z morza. Daliśmy kurs do portu. Fale zalewały pokład, woda zamarała i powoli wszystko było oblodzone. Siedzieliśmy wewnątrz kutra, bo na pokładzie nie było się czego chwycić. Gdy dopłynęliśmy do portu, poziom pokładu kutra zr—wnywał się prawie z poziomem wody w morzu. Jeszcze dwie godziny dodatkowego rejsu w tym sztormie zako—czyłoby się katastrofą i morze by nas pogrzebało.

Na „Walerym” mieliśmy szypera w starszym wieku, kt—ry złożył wymówienie i na jego miejsce dostał się J—zek. Jakis czas później, przy zmianie członk—w załogi na nasz kuter dostał się Tadzik. Było nas już trzech „zawierzonych”, w załodze i trzech na łodzi. Nadeszła wiosna i święta wielkanocne. Dostaliśmy kilka dni wolnych. Józek i Olek pojechali w swoje rodzinne strony do Lubartowa. Olek miał w domu schowany pistolet. Zapakował

go w paczkę z cebulą i zabrał ze sobą do Kolobrzegu. Jadąc pociągiem, położyli paczkę w półce w przedziale i na każdej stacji wychodzili na korytarz by obserwował przez okno czy do wagonu nie wchodzi milicja. Gdy na jednej ze stacji weszło dw—chmilicjant—wna kontrolę pasażerów, zmienili przedział. W tym czasie ja też byłem dwa dni u rodziny, wymieniłem u mamy 10 dolarów z myślą, że mogą mi się przydać. W domu nikt nie wiedział, że planuję ucieczkę do ojca. Przy pożegnaniu cisnęły mi się do oczu łzy, uściśnąłem mocno wszystkich po kolei, bo zdawałem sobie sprawę, że być może widzę ich po raz ostatni. Pamiętam mama też płakała.

Po powrocie do Kolobrzegu ukryłem pistolet na kutrze, w filtrze powietrznym motoru. Miał służyć nam jako postrach w przypadku oporu niewtajemniczonej w nasze plany części załogi.

Początkiem maja 1951 roku w sobotę wszyscy z załogi zeszli z kutra. Część poszła na zabawę, część do baru na jednogodzinny wypływania w morze mieliśmy jeszcze kilka godzin. Ja zostałem z J—zkiem na pokładzie by przygotował dla Leona i Olka wejście na kuter. Wprowadziliśmy ich przez uprzednio przygotowaną dziurę w żywopłocie. Józek obserwował czy ktoś nie idzie na kuter, a ja odkręciłem denko od zbiornika i wpuściłem ich do środka. Zakręciłem denko i obydwaj poszliśmy jak nam się wydawało już na „ostatnią” zabawę. Byliśmy tam około 2 godziny, trochę popiliśmy i wróciliśmy na kuter. Załoga już spała. Za godzinę mieliśmy wypłynąć w morze. Ja trochę zmęczony, położyłem się spać. Nie upłynęło dużo czasu, Józek wbiegł do mojej kabiny, chwycił mnie mocno za nogę i powiedział: „Choć szybko, bo oni biją w zbiornik”.

Wyskoczyłem w piżamie z kabiny i przez otw—w pokładzie do silowni. Odkręciłem denko. Leon i Olek byli u kresu sił. Było już im wszystko jedno, chcieli tylko uratować życie. Zabrakło im powietrza, mało brakowało aby się udusili. Mieli przez 3 godziny tylko 1 m sześcienny tlenu do oddychania. Zapomniałem o jego dostępie. Wpuściłem ich spoconych i

ledwo żywych, dałem im klucze do mojego mieszkania. Wyszli przez dziurę w żywopłocie. Za pół godziny dostaliśmy sygnał i wypłynęliśmy w morze - ale bez nich.

Po tej nieudanej pr—bie odkręciłem mufę na pokładzie od rury do napelniania wody i włożyłem pod denko kilka zapalek, by zapewnić dostęp powietrza do zbiornika. Planowaliśmy drugą próbę, ale Leon zrezygnował mówiąc, że do tej trumny więcej nie wejdzie. Olek nadal był chętny, do niego doszedł Marian.

Po około dw—cetygodniach, przy odprawie pod plac—wką WOP-u przyszedł oficer z dwoma szeregowcami i jak zawsze przeprowadził kontrolę całego statku. Tym jednak razem szukał i zaglądał do każdej szczeliny. Jak sko—czył wr—cił na plac—wkęPo chwili znowu przyszedł i zarządził kontrolę jeszcze raz. Jeden z załogi przechodzący koło mnie i powiedział: „To tylko przez tych sk.....w co chcą uciekać”. Mnie przeszły dreszcze, robiło mi się zimno i gorąco na przemian, pomyślałem sobie - „teraz leżymy”. Staliśmy przy moło niecałe dwie godziny. Przyszedł rozkaz z WOP-u, żeby wracać do portu bez wyjaśnienia dlaczego. Domyślaliśmy się, że ktoś musiał widzieć obcych ludzi wchodzących na kuter, inaczej nie umieliśmy sobie tego wytłumaczyć. Było już dość późno w nocy. Zastanawialiśmy się, jak teraz wypuścić schowanych w zbiorniku Olka i Mariana? Józek powiedział do załogi: „Słuchajcie! My mamy w domu w—dkęp—jdziemywszyscy, popijemy sobie trochę i zagramy w karty, za chwilę na pewno przyjdzie sygnał i wypłyniemy w morze”. Cała załoga jak na komendę, udala się z nami do naszego mieszkania. Po chwili wyrwałem się, poszedłem na kuter i wpuściłem Olka i Mariana. Tym razem wentylacja powietrza w zbiorniku funkcjonowała. Po tej drugiej nieudanej pr—bie, zaczęliśmy dyskutować czy jest sens podejmować kolejne ryzyko, czy lepiej będzie zaniechać nasze plany.

Być może bezpieka i WOP była już wtedy na naszym tropie.

Mieczysław Nycz

Dalszy ciąg wspomnień M. Nycza w następnym numerze GGL

Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej Męskiej w Albigowej

c.d. ze str. 25

radą, zachęcał chłopców do przestrzegania statutu i wytrwania w pracy organizacyjnej.

W walnych zebraniach uczestniczyły też jako goście panie z Koła Gospodyń. Nauczycielki ze Szkoły Gospodyń Wiejskich były zapraszane na członkinie wspierające, do wygłaszania referatów o hodowli roślin i innych, do komisji lustrujących uprawowe polećka druhów biorących udział w konkursie z przysposobienia rolniczego. Do pewnego czasu współpracowano ze Związkiem Strzeleckim, którego opiekunem był Bolesław Stecki - kierownik szkoły powszechnej w latach 1916-1934.

Chłopcy ze Stowarzyszenia bardzo chętnie zapisywali się w szeregi straży pożarnej. Wiele organizacji wypożyczało sobie aktorów amatorów do przedstawień. Współpracowano ze stowarzyszeniami z innych miejscowości i dlatego albigowska delegacja wyjeżdżała na uroczystość poświęcenia sztandaru i wbicia honorowego gwoźdźcia do: Krosna (1930), Krzemienicy (1931), Nowosielec i Soniny (1937), Łańcuta (1938). W 1934 r. druhowie uczestniczyli w poświęceniu sztandaru straży pożarnej w Albigowej. Za przywilej wbicia gwoźdźcia trzeba było zapłacić przeważnie 2 zł, a jak ksiądz dodał coś z własnej kieszeni, to nawet 5 zł.

Zapraszano do nas inne stowarzyszenia z Handzlówki, Husowa, Markowej, Błażowej. Trudno byłoby działać jakiejś organizacji w izolacji, dlatego młodzi ludzie dążyli do rywalizacji i wymiany poglądów.

W pracy Stowarzyszenia można wyróżnić wiele ciekawych form pracy. Młodzież dołączała się do uroczycie obchodzonych we wsi rocznic ważnych wydarzeń historycznych, szczególnie odzyskania niepodległości i powstań narodowych.

Kierownictwa stowarzyszeń kształcono na różnorodnych kursach, zjazdach, zlotach, wizytacjach oddziałów. Szerokie rzesze członkowskie szkolono przez akcję odczytową. Druhowie obchodzili imieniny kolegów, składając sobie życzenia podczas zebrań. Żegnano też uroczystość kolegów odchodzących do wojska, obdarowując ich za każdym razem tę samą książeczką pt. "Życie żołnierza". Druhowie działali w wielu kołach zainteresowań: teatralnym, sportowym, szachowym, śpiewaczym, intrygatorskim, misyjnym, różańcowym, eucharystycznym, kandydackim. Mieli własną małą bibliotekę. Prenumerowali czasopisma: *Przyjaciel Młodzieży*, *Kierownik Stowarzyszenia*, *Rola Katolicka*, *Przysposobienie Rolnicze*, *Młodzież Misyjna*, *Orlątko*, *Plon*, *Spółdzielnia Rolnicza*.

Dokształcali się na różnych kursach. Na kursie oświatowym uczyli się ortografii i rachunków. W kursie wychowania fizycznego w Przemysłu uczestniczyli kolejni naczelnicy sportowi. Chłopcy z Albigowej przechodzili szkolenie członków zarządów Stowarzyszeń w Łańcutcie. Dla uczestników przysposobienia rolniczego urządzano w Łańcutcie kursy uprawy np. kukurydzy, kapusty, ziemniaków, buraków. Druhowie zdobywali w Stowarzyszeniu praktyczną i teoretyczną wiedzę o rolnictwie, biorąc udział w corocznych kursach przysposobienia rolniczego. Przydawała się ona w prowadzeniu gospodarstwa najpierw rodziców, a potem własnego. Udawali się na zloty oddziałów do Łańcuta, wyjeżdżali na zjazdy Stowarzyszeń do Przemysła. Corocznie uczestniczyli w dokształcających kursach im. Staszica. Kurs buchalterii i stenografii przez wiele miesięcy prowadził Józef Szpunar. Organizowali coroczny konkurs obowiązkowości, który miał ich mobilizować do przestrzegania organizacyjnej dyscypliny.

Powodzeniem wśród młodzieży cieszyły się gry sportowe, wycieczki, urządzenie przedstawień, akademie, wieczornice oraz szkolenia zawodowe jak przysposobienie rolnicze, przysposobienie wojskowe. Na początku miejscem spotkań druhów była świetlica "Ogniska", która znajdowała się w budynku byłej mleczarni (mały budynek byłej Szkoły Ogrodniczej). Od 1935 r. zebrań odbywały się w poczekalni plebanii, a w latach 1936-1939 w nowo wybudowanym Domu Katolickim (dzisiejszy Ośrodek Zdrowia). Druhowie uczestniczyli w organizacyjnych zebraniach, palili "wkładki" miesięczne, oprócz tego jeszcze wpisowe. Nie zawsze odbywało się to na czas, chłopcy otrzymywali pieniądze od rodziców.

Pracowicie spędzali czas, o czym świadczy podsumowanie pracy z 1938 roku: 12 zebrań plenarnych, 13 zebrań kierownictwa, 12 referatów, 11 kwadransów ewangelicznych, odegrano 6 sztuk scenicznych, przystąpiono 4 razy do sakramentu pokuty i komunii św. W celu pogłębienia duchowości i wiedzy religijnej druhowie studiowali Pismo Święte, katechizm, nauczanie papieża, ksiądz prowadził kwadrans ewangeliczny, czytali literaturę religijną, pisma organizacyjne i referaty wydawane przez kierownictwo czterech stowarzyszeń Akcji Katolickiej. Chłopcy ze Stowarzyszenia brali udział w pielgrzymkach do Częstochowy. Święto 3 Maja przygotowywano w Stowarzyszeniu szczególnie uroczysto. Sprzątano razem ze Stowarzyszeniem Żeńskim obejście domu ludowego, majono choiną werandę plebanii, a w przeddzień na jej podwórzu stawiano w głębokich dołach od jednej do trzech pięknie ustrojone majówki, przy których pracowały również dziewczęta. Żerdzie chłopcy przywozili od leśniczego Jana Stypy. Był zwyczaj, że za te majówki stawiane pod oknami księży, oni potem druhom rewanzowali się. Za dobrze zorganizowaną majówkę księża kupowali im piłkę do koszykówki, książki do biblioteki lub wpłacali pieniądze na książeczkę oszczędnościową Stowarzyszenia. Wojna przerwała działalność Stowarzyszenia.

Więcej szczegółów znajdzie czytelnik w broszurze *Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej Męskiej w Albigowej w latach 1929-1939* wydanej przez Publiczne Gimnazjum w Albigowej w ramach programu „Szkoła marzeń”. Dzięki innemu programowi grantowemu - „Działaj Lokalnie IV”, realizowanemu w tym Gimnazjum, wydano *Teatr amatorski w Albigowej w latach 1903-1983*.

„MÓJ POWRÓT DO OJCZYZNY DROGAMI SOLIDARNOŚCI”

W dniu 26 stycznia 2007 roku, nie po raz pierwszy, gościliśmy w Urzędzie Gminy Łańcut naszego rodaka z Wysokiej, od ponad 50 lat mieszkającego w Szwecji – pana Mieczysława Nycza.

Historię jego życia publikowaliśmy na łamach „Głosu Gminy Łańcut” w 2006 roku.

Pan Mieczysław od 25 lat działa w Komitecie Solidarności z Polską w Szwecji, którego m. in. był założycielem. Komitet organizuje pomoc materialną dla ludzi i instytucji potrzebujących i ubogich w Polsce.

Po raz kolejny składając nam wizytę w Urzędzie Gminy dobroczyńca przekazał dary do Gminnego Ośrodka Pomocy Społecznej, które zostaną rozdane najbardziej potrzebującym mieszkańcom z terenu naszej gminy.

Pan Mieczysław zgłosił się do nas sam, przez redakcję naszej gazety, na którą zwrócił uwagę podczas jednej z wizyt w Polsce w 2005 roku. Bardzo cieszymy się, że mogliśmy poznać tak wspaniałego człowieka, bo niewątpliwie jest to nietuzinkowa i godna uwagi postać.

Pełni wdzięczności za jego pracę składamy jak najszczerze podziękowania w imieniu wszystkich obdarowanych.

Historię swojej pracy dla Ojczyzny opowiedział on sam.



Mieczysław Nycz

KOMITET WSPARCIA SOLIDARNOŚCI W SÖDERTÄLJE – 25 LAT W SŁUŻBIE DLA KRAJU

Tak się zaczęło

W sierpniu 1980 roku, kiedy NSZZ „Solidarność” została zalegalizowana w Polsce, pełniłem funkcję sekretarza Stowarzyszenia Polaków Södertälje. Organizacja ta, należała członkostwem do Centralnego Związku Organizacji Polonijnych w Szwecji (CZOP), który współpracował z władzą PRL-u), liczyła ponad 35 członków, którzy ideologicznie byli podzieleni. Większość z nich sympatyzowała z PRL-em i utrzymywała kontakty z urzędem konsularnym w Sztokholmie, pozostali, do których się zaliczałem, miała poglądy niepodległościowe. Mimo dużych różnic ideologicznych współpraca w Stowarzyszeniu układała się dobrze. Jednak kiedy rozpocząłem organizować zbiorki pieniężne i oficjalne spotkania opiniotwórcze na rzecz poparcia Solidarności w kraju sympatycy PRL-u bojkotowali moje działania, a dyskusje o Solidarności i wolnej Polsce nazywali polityką sprzeczną ze statutem Stowarzyszenia. Ta sytuacja pogłębiła w organizacji już przedtem widoczną polaryzację sił, a wprowadzenie stanu wojennego przyśpieszyło jej oczekiwany rozłam. Po upadku ustroju komunistycznego w Polsce, Stowarzyszenie z powodu próżni ideologicznej rozwiązało się.

Sztokholm – rynek miasta Sergels Torg

13 grudnia 1981 roku z samego rana dzwoni do mnie kolega i pyta:

– „Mietek, wiesz co się w Polsce dzieje?”

– „Nie, a o co chodzi?”

– „General Jaruzelski wprowadził w Polsce stan wojenny. Wojsko i Służby Bez-

pieczeństwa kontrolują kraj, a działacze Solidarności są aresztowani i osadzani w więzieniach”.

Włączyłem szwedzkie radio i usłyszałem to samo. Informowali także, że w Sztokholmie na rynku miejskim Sergels Torg, po południu, odbędzie się manifestacja protestacyjna.

Zadzzwoniłem do kilku przyjaciół, spotkaliśmy się na dworcu kolejowym i pojedaliśmy do Sztokholmu. Na rynku Sergels Torg zebranych było około 6 tys. ludzi. Wśród tłumu widoczne były polskie sztandary i mnóstwo transparentów z różnymi hasłami potępiającymi gen. Jaruzelskiego i wprowadzenie stanu wojennego w Polsce. W czasie manifestacji przemawiał szwedzki minister do spraw zagranicznych Sten Andersson i m.in. działacz Solidarności Stefan Trzeciński. Po manifestacji nawiązałem z nim kontakt i to zapoczątkowało naszą współpracę, która trwała przez okres stanu wojennego, aż do czasu odzyskania wolności w Polsce.

powstał drugi komitet o nazwie Polen-Solidaritet, utworzony przez Szwedów. Aby nie działać na dwóch platformach dla tej samej sprawy połączyliśmy się. Nazwa komitetu w polskiej wersji pozostała ta sama, po szwedzku nazywaliśmy się Kommitten för Polen Solidaritet.

Działalność

W początkowej fazie było 42 członków - Szwedów i Polaków. Z czasem ten skład mocno wykruszył się. Część osób straciła motywację, część skrajnie lewicowych zrezygnowała z członkostwa, gdyż działalność ta nie przynosiła im oczekiwanych korzyści natury ideologiczno – politycznej.

Nawiązaliśmy kontakt i współpracę z Biurem Informacyjnym „Solidarność” w Sztokholmie, któremu przewodniczył Marek Michalski. Tu przekazywaliśmy ubierane pieniądze na Solidarność. W zamian otrzymywaliśmy biuletyny informacyjne, adresy do internowanych i więzionych

Stan wojenny w Polsce
Członkowie Komitetu demonstrują
w Sztokholmie. W środku:
Mieczysław Nycz, Apolonia Högestätt
i Tadeusz Piekarski



Utworzenie komitetu

W drodze powrotnej do Södertälje podnieceni sytuacją postawiliśmy sobie pytanie co dalej robić? Spróbujmy działać - powiedziałem. Stwórzmy jakąś organizację solidarnościową, albo założymy komitet. Tak też się stało.

Dnia 21 grudnia zorganizowałem spotkanie w domu. Zebrało się sześć osób. Po krótkiej dyskusji byliśmy zgodni, by powołać do życia organizację o nazwie Komitet Wsparcia Solidarności. Głównym jej celem było bezwarunkowe poparcie Solidarności w Polsce. Skład komitetu tworzyli: Kazimierz Szyporyn, Apolonia Högestätt, Tadeusz Piekarski, Klemens Chaciński, Zdzisław Adamski. Ja objąłem funkcję przewodniczącego. Po dwóch tygodniach, K. Chaciński i Z. Adamski zrezygnowali z członkostwa. W tym samym czasie w całej Szwecji tworzyły się komitety pro-solidarściowe. Nie istniały jednak długo. Po krótkim czasie, jak słomiany płomień, wiele z nich rozwiązywało się. W Södertälje

działacze Solidarności oraz informacje o planowanych wiecech i demonstracjach w Sztokholmie. Pierwszym konkretnym działaniem naszego komitetu były zbiorki pieniędzy, żywności, odzieży i obuwia. Wysłailiśmy ponad 200 paczek do internowanych i więzionych działaczy Solidarności oraz ich rodzin. Szwedzi ułatwili nam przesyłkę paczek zwolnieniem z opłat pocztowych.

Biuletyny Informacyjne Solidarności, które przychodziły do nas z biura były ciekawe i popularne, ale ilość ich nie starczała by zadowolić zapotrzebowanie. Chodziłem często bardzo wcześnie do pracy, by przed jej rozpoczęciem skorzystać z ksera i zrobić kopie gazet. Dzięki sprzedaży biuletynów zdobyliśmy sporo pieniędzy. Nasze członkinie kilkakrotnie wypiekały polski chleb i sprzedawały go na stoiskach w mieście, a zyski z tego przesyłaliśmy do Kultury Paryskiej na cel uwieczonych i internowanych działaczy Solidarności w Polsce. Na ulicach Södertälje urządzali-

c.d. na str. 28

Sprzedasz polskiego chleba na rynku
W Södertälje, zysk przekazano dla
Więźniów politycznych w Polsce.



śmy wiece protestacyjne żądając zniesienia stanu wojennego i uwolnienia więźniów politycznych. Chodziliśmy ze skarbonkami i zbieraliśmy pieniądze. Urządzaliśmy wiele spotkań opiniotwórczych z przywódcami szwedzkich partii politycznych. Do Szwedzkiego Rządu wysłaliśmy petycję z apelem o poparcie zalegalizowania wolnych Związków Zawodowych Solidarności i wprowadzenia ludzkich praw w Polsce. Wysłaliśmy do szwedzkich partii politycznych kilkadziesiąt pocztówek z symbolem Solidarności, z wezwaniem by je podpisali i wysłali do władz w kraju w formie protestu przeciw stanowi wojennemu i ucisku osób o odmiennych poglądach. Braliśmy udział w różnych organizowanych demonstracjach m.in., w pierwsze poniedziałki każdego miesiąca przed Ambasadą PRL w Sztokholmie, artyści malarze w Södertälje ofiarowali nam „wernisaz” swojej sztuki malarskiej, dochód za sprzedane obrazy przekazaliśmy na Solidarność. Mieliśmy dwie ilustracyjne wystawy w Domu Kultury w Södertälje na temat stanu wojennego, i o „podziemnej” działalności Solidarności w Polsce, oraz z okazji 20-stulecia działalności komitetu. W prasie lokalnej Länstidning opublikowaliśmy ponad 50 artykułów na tematy Solidarności i sytuacji politycznej w Polsce. Wydaliśmy dwa biuletyny „Razem” z informacją i podsumowaniem naszej działalności.

Wizyty i współpraca

W roku 1983 do naszej aktywnej pracy włączyli się Waclaw i Monika Tucińscy. Zapoznaliśmy się także z działaczem Solidarności w Szwecji, Adolfem Szutkiewiczem. On pomógł nam w kontaktach z wieloma działaczami Solidarności z Polski, którzy nas odwiedzali. Gościliśmy w Komitecie działacza Solidarności - Grzegorza Pałkę wraz z małżonką z Łodzi, Mariana Jureczyka ze Szczecina i Ministra do spraw imigracyjnych Rządu RP w Londynie - Zbigniewa Scholtza, niesamowitego patriotę

wolnej Polski, który mimo podeszłego wieku odwiedzał środowiska Polonijne w różnych krajach i zagrzewał do pracy na rzecz wolnej Polski, a przy tym zbierał pieniądze na cel jej wyzwolenia. Niestety, nie doczekał się jej wolności. Zmarł kilka miesięcy przed upadkiem komunizmu i przywróceniem wolności Polsce.

Urządzaliśmy wiece informacyjne i opiniotwórcze w parku miejskim i Domu Ludowym (Folkets Hus). Prelegentami byli: Stefan Trzcziński, Seweryn Blomstein i Mirosław Chojecki. Mieliśmy także przykre epizody, kiedy na wiece przychodziły kobiety ze Stowarzyszenia Polaków ze Szwedami (komunistami) w stanie nietrzeźwym i swym głośnym, niepoprawnym zachowaniem, przerywali nasz program. Wiece były oficjalne, nie mogliśmy ich wyprosić.

Komitet Wsparcia Solidarności prowadził również owocną współpracę z organizacjami mniejszości narodowych w Södertälje. Warto tu wspomnieć Węgrów i Finów, którzy okazali nam dużo sympatii i moralnego poparcia. Sporadyczną współpracę mieliśmy również z Polskim Kongresem w Sztokholmie, szczególnie z jego prezesami, Janem Zuchowskim, później z Romanem Koba, którego życie i praca przepojona była zawsze troską o wolność i dobro naszego kraju. Działalność bylego założyciela i Prezesa Kongresu - Jana Zuchowskiego była kwestionowana, uważam jednak, że niesłusznie. Dla mnie był on zdecydowanym przeciwnikiem ustroju komunistycznego, oraz pracowitym i gorliwym zwolennikiem wolnej Polski.

Pomoc uchodźcom i adopcja rodziny

Po wprowadzeniu stanu wojennego, wielu rodaków przebywających na turystycznym paszporcie w Szwecji nie chciało wracać do kraju i prosiło o azyl polityczny. Wielu znalazło się tu także, w drodze ucieczki. Kilkunastu osadziło się w Södertälje. Byli to ludzie przeważnie samot-

ni i potrzebujący pomocy. Komitet organizował z nimi spotkania, zapraszał ich na obchody świąt narodowych i na urządzane Noworoczne, na których częstowaliśmy gości tradycyjnymi polskimi potrawami. Niektórym groziło wydalenie. Komitet wysyłał do Invandrarverket pisma w ich obronie z zaświadczeniem o ich politycznej pracy skierowanej przeciwko władzy komunistycznej w Polsce. Po naszej interwencji otrzymywali azyl.

Adoptowaliśmy rodzinę Adama Opieła z Gorzowa Wielkopolskiego. Był on działaczem Solidarności, prześladowanym przez UB, zwolnionym z pracy i pozbawionym środków do życia. Jego żonie Elżbiecie z małoletnim synem, udało się otrzymać paszport i wizę turystyczną do Szwecji. Poprosiła o azyl polityczny, ale jej nie przyznano, groziło jej też wydalenie. Dzięki naszej interwencji w Invandrarverket i opisu prześladowania ich przez UB otrzymała zezwolenie na stały pobyt. Aktywni członkowie naszego komitetu byli też narażeni na „podszyte” groźby i poniżanie godności ludzkiej. UB z Warszawy groził nam „kwasem siarkowym i jadowitymi strzałami”, a CZOP na nasze wezwanie by dołączył się do poparcia Solidarności w Polsce, obrzucał nas obelgami. Nie tylko CZOP w czasopiśmie „Polonia” krytykował Solidarność w Polsce, ale też jej redaktor J.W. w polemice ze mną na temat wolnej Polski pisał, że „to co się działo w Polsce, za czasów komunistycznych, też było winą narodu”. To wszystko dawno przebaczyłem ale nie zapomniałem.

Transporty

Równoległe do pracy politycznej i kulturalnej komitet prowadził i prowadzi nadal prace na rzecz humanitarnej pomocy do kraju. Pierwszy TIR odjechał w 1983 roku do Szczecina i Pabianic. W 1984 roku wysłaliśmy następny transport z darami do sióstr zakonnych na Okęciu w Warszawie i do Zalewa. Z transportem pojechało trzech członków komitetu. Dwóch Szwedów, Lars Nykvist i Ola Jordan oraz Polka Barbara Wolska. Przy wyjeździe z promu do Świnoujścia wzięto ich natychmiast do specjalnej hali, gdzie wojsko przez 6 godzin przeszukiwało każdą szczelinę w samochodzie i trzytonowy ładunek żywności, odzieży i obuwia otwierając wszystkie worki i kartony. Po przyjeździe do Warszawy na Okęcie, siostry zakonne zaprowadziły ich do kościoła św. Jana. Po złożeniu kwiatów na grobie niedawno zamordowanego ks. Jerzego Popiełuszki, w piwnicy jednego domu koło kościoła, siostry umówiły spotkanie z działaczem Solidarności Sewerynem Jaworskim. Tam przekazano mu pozdrowienia od naszego komitetu wraz z dobrze ukrytymi nie deklarowanymi 4 000 koron na działalność Solidarności. Seweryn był tą

niespodziewaną wizytą ze Szwecji bardzo wzruszony, dziękując za pomoc, ze łzami w oczach uściśnął wszystkich.

Upadek komunizmu

W 1989 roku nastąpił upadek komunizmu. Polska odzyskała niepodległość. Po 38-miu latach nastąpił historyczny moment w moim prywatnym życiu. Odwiedziłem wraz małżonką Ingrid kraj, rodzinę i przyjaciół, których przez długie lata nie widziałem. Odwiedziny te podbudowały i umocniły naszą motywację do dalszej pracy na rzecz pomocy Polsce. W roku 1989 zmieniliśmy nazwę z Komitet Wsparcia Solidarności na Komitet Solidarności z Polską, i dalszą działalność ukierunkowaliśmy wyłącznie na organizowanie pomocy humanitarnej i wysyłanie jej tam gdzie zachodzi potrzeba. Dzięki pomocy m.in. szwedzkiej fundacji przy Scani, o nazwie „Dwunastoszylingowa Fundacja” „Tolvskillingshjälpen”, która od 1990 roku pomaga nam w finansowaniu transportów, wysłaliśmy wspólnymi siłami (Szwedzi i Polacy) do dnia dzisiejszego 123 samochody ciężarowe z różnego rodzaju pomocą do różnych części Polski.

Dużo czasu, poświęcenia i zaangażowania się w działalność komitetu włożyli członkowie ze strony szwedzkiej: Annika Berg Grundermark, Lars Nykvist, Ola Jordan i Ingrid Nycz. Im należy się duże uznanie. Dla nas Polaków było to, z uwagi na pochodzenie, obowiązkiem. Z Polskiej strony pragnę wymienić niestrudzonych działaczy o wolną Polskę: Apolonie Högestätt, Kazimierza i Barbarę Szyporyn, Wacława i Monikę Tucińskich, Barbarę Wolską i Tadeusza Piekarskiego. Z późniejszego okresu członkostwa Krystynę Nordin. Za tą pracę i pomoc dla kraju otrzymaliśmy od wielu osób, ośrodków pomocy i państwowych instytucji dużo ciepła, wdzięczności i uznania, niekiedy również medale.

W Sztokholmie, w sierpniu 2005 roku obchodzono 25-lecie powstania Solidarności. Według Nowej Gazety Polskiej, za działalność na rzecz Solidarności w Sztokholmie odznaczono około 80 osób. O działalności Komitetu Solidarności z Polską w Södertälje zapomniano pomimo, że wielu dobrze nas znało ze współpracy, aktywnego działania i z dorobku naszej pracy. 25 lat to długa przestrzeń czasu, a czas niestety wykrusza pamięć...

Czas wykruszył także szeregi naszych aktywnych członków. Kilku z w/w osób już nie żyje. Pozostało nas tylko pięcioro i to już w bardzo zaawansowanym wieku. Nadchodzi czas na podsumowanie naszej działalności. W kraju jest jeszcze wiele nie zaleczonych ran, nie wyciągnięto jeszcze wszystkich konsekwencji moralnych za przestępstwa popełnione za czasów komunistycznych. Wiele osób jeszcze na to czeka. Gospodarczo, kraj zrobił wielki skok.

To jest zauważalne. Jednak kontrasty są za duże. Jest jeszcze wielu biednych ludzi. Zamiast szybciej reformować kraj, zużywa się często dużo czasu na bezowocne, osobiste dyskusje. Nasuwa się pytanie: Czy to wszystko było warte naszego wysiłku? Nieodzwonnie TAK! To był nasz dar serca dla Ojczyzny i ludzi pokrzywdzonych przez los – podyktowany piosenką, którą uczyliśmy się w szkole w wolnej Polsce za młodych lat: „Wszystko, co nasze Polsce oddajmy,” To nasze hasło, to nasza cześć! – To hasło utkwiło gdzieś na dnie naszego serca i powędrowało z nami w świat. W nieświadomości, że kiedyś jak dorośniemy i gdy zajdzie potrzeba urzeczywistnimy go czynem.

Mieczysław Nycz, Prezes Komitetu Solidarności z Polską

Södertälje, Szwecja, 21.12. 2006 r.
Prezes Komitetu Solidarności z Polską



M. Nycz przekazuje dary dla ubogich rodzin na ręce kier. GOPS

Szkoła Podstawowa w Gluchowie

Stop przemocy w szkole!

O realizacji programu „Szkoła bez przemocy” w ramach ogólnopolskiej kampanii społecznej patronowanej przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej i dzienników regionalnych

Z roku na rok wzrasta nadpobudliwość psychoruchowa dzieci i młodzieży spowodowana stylem ich życia, m.in. naśladowaniem bohaterów filmów akcji bądź gier komputerowych. W bieżącym roku szkolnym została podjęta społeczna kampania „Szkoła bez przemocy”, która ma na celu uświadomienie narastającego problemu przemocy i przejawów agresji w polskich szkołach oraz dostarczenie narzędzi skutecznie zwalczających to zjawisko.

Nasza szkoła również włączyła się do kampanii „Szkoła bez przemocy”. Opracowała projekt, który po akceptacji nauczycieli, rodziców, dzieci i organizatorów Kampanii, jest realizowany. Główne cele podjętego przez nas projektu to:

- uświadomienie dzieciom i rodzicom problemu przemocy wśród młodzieży,
- kreowanie postawy bycia dobrym i postawy pozytywnego obrazu „ja”,
- propagowanie prospołecznych zachowań,
- stymulowanie uczniów do wyrażania i nazywania uczuć,
- nauka krytycznego, odpowiedzialnego wyboru programów telewizyjnych,
- rozwijanie umiejętności komunikowania się w grupie opartej na zasadach partnerstwa.

Na wstępie uczniowie zapoznali się ze znaczeniem słów: „przemoc”, „agresja”, przejawami przemocy w szkole. Dowiedzieli się, że są ofiarami przemocy również wtedy, gdy są np. przezywani, ośmieszani przez koleżanki i kolegów. Plotkowanie, obmawianie, złośliwe komentowanie wyglądu, wyników naukania, wady wymowy bądź niszczenie rzeczy ucznia to także przejawy przemocy. Obecnie

pod kierunkiem nauczycieli uczestniczą między innymi w cyklicznych zajęciach pozalekcyjnych uczących komunikowania opartego o zasady wzajemnej tolerancji, akceptacji, kształtowania pozytywnego obrazu „ja”, sposobów radzenia sobie z przejawami agresji i przemocy w szkole oraz ukazujących uczucia i przeżycia ofiary.

Równocześnie podejmowane są zalecane przez psychologów Kampanii działania:

1. Prowadzenie godzin wychowawczych według scenariuszy:

- Co to jest agresja?
- Jak sobie radzić z przemocą?
- Co to jest złość? Gdzie mieszka złość?
- Jak pomagać i jak się bronić?

Lekcje te miały na celu zrozumienie uczucia złości, poznanie sposobów radzenia sobie z nią, nauczenie się, jak pomagać innym w sytuacji agresji i przemocy oraz jak skutecznie bronić się przed agresją i przemocą.

Nauczyciele wspólnie z wychowankami ustalili zasady pracy w grupie, którymi później kierowali się uczniowie, rozwiązując dany problem. Prowadzący czuwali na przestrzeganiem wcześniej ustalonych reguł pracy w grupach, na bieżąco reagowali na sytuacje trudne, dzielili się z uczniami swoimi poglądami i doświadczeniami na temat przemocy.

2. Przestrzeganie Kodeksu „Szkoła bez przemocy”.
3. Stworzenie Klasowych Kodeksów Przyjaźni.

c.d. na str. 30